

MAŁGORZATA MUSIEROWICZ

FRYWOLITKI (79)

czyli ostatnio przeczytałam książkę!!!

Uwielbiam Aleksandra Fredrę! – zakrzyknęłabym, gdybym była w Waszym wieku, Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, i gdyby mi jeszcze wypadało wznosić entuzjastyczne okrzyki. Ale... właściwie... ech, co to jest, tych parę latek różnicy. Wzniosę sobie okrzyk. A więc: UWIELBIAM ALEKSANDRA FREDRĘ! – jest to jeden z moich najulubieńszych pisarzy i jeden z najulubieńszych ludzi. Jego słowa, powiedzonka, żarciki z bajek i sztuk teatralnych towarzyszą mojej rodzinie już od czterech pokoleń. Zresztą, nic nadzwyczajnego; w niejednym polskim domu mawia się na co dzień: „Znacie? – no, to posłuchajcie!”, albo: „Ej, serdeczko, bo cię trzepnę!”, albo: „Osiołkowi w żłoby dano – w jednym owies, w drugi siano”, lub wręcz: „O, zbrodniarzu! O, przekleś! Taką piękną niszczysz rolę!”. Fredro, po prostu, jest ulubionym pisarzem wielu spośród nas – i całe szczęście, bo dobrze jest, kiedy naród kocha tych pisarzy, którzy się śmieją. To od nich można się nauczyć błogosławionej pogody ducha, wspaniałomyślności i dobroci. Nie ma nic lepszego dla ludzi czytających. Zresztą, dla nieczytających też. „Uratował Polskę od ogólnej melancholii” – napisał w roku 1876 Stanisław Koźmian. A Tadeusz Boy-Żeleński w „Obrachunkach fredrowskich” zauważył: „Molier to czyn, Fredro to marzenie; ale właśnie to przepełnienie utworu komicznego poezją, to nasycenie go pogodną, jakby epicką wizją współczesności lub przeszłości, ten jakiś szlachetny czar, to wszystko czyni Fredrę czymś odrębnym, jedynym w literaturze świata. Komedia, satyra, rodzi się w znacznej mierze z nienawiści; spojrzenie jest to najczęściej spojrzenie z dołu: Molier i Beaumarchais wypili w życiu wszelką gorycz i wszelkie upokorzenie i w nich hartowali swój talent. Fredro przyglądał się światu z ganku wiejskiego dworku; komedia jego jest dzieckiem nie nienawiści, ale miłości lub bodaj beztroskiej, nieco pańskiej pobłażliwości i to może główne jej źródło niepodobieństwa do innych”.

Człowiek, który się śmieje, niekoniecznie jest ślepy na całe zło świata i na nieszczęście bliźnich. Pisarzowi, który żartuje, nie zawsze los oszczędził goryczy i upokorzeń. Być może pisarz w ten sposób – na swój sposób – stara się świat odrobinię naprawić, oswoić, a może nawet – ratować.

Może też, całkiem po prostu, śmieje się – żeby nie płakać.

Śmiech serdeczny potrzebny choćby dla odmiany,

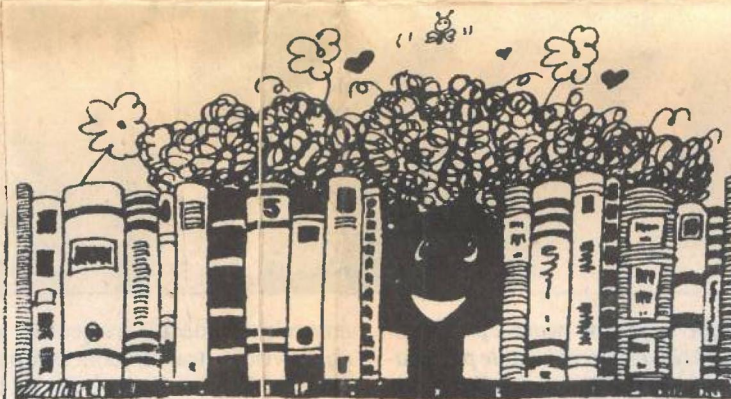
Bo śmiech, również jak smutek, od Boga jest dany.

A chociaż się nań zżyma purytan posępny
Czysty niechaj się śmieje, a zgrzyta występny.

– pisał na powitanie Fredry w Krakowie w roku 1869 Lucjan Siemieński.

„15 lipca 1876 roku (...) na poprzek szerokiego łóża siedział, na wprost leżąc, człowiek wyblady, w spokojnym, prawie dziecięcym uśpieniu. Dusza sprawiedliwego, dusza wzniosła, szlachetna, pocziwa, kochająca, staczała ostatnią walkę rozłączając się z ciałem” – pisała Zofia Fredrowa o śmierci męża. „Nie był aniołem, ale był dobrym człowiekiem. Jako człowiek ulegał namietnościom, pokusom, słabościom ludzkiej natury. Skazany od młodości do grobu na dwie ciężkie choroby (...) nie umiał znosić cierpienia z cierpliwością i poddaniem się”. (Wojciech Natanson, „Sekrety fredrowskie” LSW 1984). Ten niepokorzony z cierpieniem człowiek, któremu w dodatku życie, jak to ono, nie szczędził o wymysłnych udręk, a bliźni, jak to oni – zawzięci i dokuczliwi, stworzył dzieła rozkosznie śmieszne, radosne, czułe i soczyste, przepelnione barwami, rozprzestrzeniające, od tyłu już lat, dobroczynną energię celnego, jędnego humoru. Jeśli są one niekiedy zbyt celne, złośliwe i ostre wobec ludzkich wad, słabości i śmiesznośtek – to przecież zawsze z przymieszką ciepła i wspaniałomyślnej wyrozumiałości.

Spośród arcydzieł Fredry najbardziej lubię „Zemstę” i „Pana Jowialskiego”. Nic więc dziwnego,



nego, że wyczytawszy w prasie wieści o przedstawieniu w Teatrze Polskim („Zemście” w reżyserii Andrzeja Łapickiego!) popadłam w obsesję. Ot i kłopot! – do Warszawy jeździć nie lubię, bo jest rozdzierająco brzydka ze swoimi nuworzowskimi wieżowcami, wszechobecnym brudem i zapachem smażonego tłuszczu, ze smutnym bałaganem i rozbebeszonym handlem ulicznym. Jednakże raz w roku udać się tam muszę – na Targi Książki, więc wymyśliłam, że można by za jednym strzałem ubić dwa drożdzy. Bardzo chciałam zabrać na to przedstawienie młodsze dzieci, żeby choć raz w życiu zobaczyły „Zemstę” na żywo, w najlepszej obsadzie i w reżyserii Mistrza. Być może, myślałam sobie, jest to już ostatnia okazja ujrzania aktorów, którzy potrafili nosić kontusz i mówić prawidłowo wiersz Fredry. Za parę lat to się może zmienić. Kto wie, czy nie znajdzie się śmiały młody reżyser, który obali konwencję i wystawi „Zemstę” w stylu amerykańskim, a potem już tak zostanie w tradycji teatralnej na zawsze.

Sprawa z wyjazdem okazała się jednak nielata, bo na ajwyraźniej podobnie jak ja rozumowa-

ły całe rzesze rodaków. Po bilety na „Zemstę” w Teatrze Polskim trzeba – powiedziano mi – ustawiać się w kolejkach z co najmniej miesięcznym wyprzedzeniem. Nie miałabym więc żadnych szans na realizację swego marzenia, gdyby nie „Lejery” – autorska szkoła podstawowa o profilu teatralnym, działająca w Poznaniu. Jej dyrektor, Jerzy Hamerski, specjalista od realizacji marzeń, zwrócił się do zaprzyjaźnionej z „Lejerami” znakomitej pisarki Wandy Chotomskiej, a ta wspaniała kobieta zdobyła dwadzieścia parę biletów na spektakl 15 maja.

Pięknie jest, kiedy marzenia spełniają się co do joty – myślałam, siedząc pośród oczarowanych dzieci w piątym rzędzie parteru, na wprost Daniela Olbrychskiego (zdecydowanie najbardziej rycerskiego i najprzystojniejszego ze wszystkich znanych mi Cześników), oraz wpatrując się rozkochanym wzrokiem w ulubionego Wiesława Michnikowskiego, który jako Dyndalski przeszedł – co nie do wiary – samego siebie. Lecz zaledwie przez parę chwil zdolna byłam myśleć na tak oderwane tematy. Potem porwał mnie wartki strumień fredrowskiej energii i czaru i już do końca spektaklu nie mogłam się opamiętać. Znakomite przedstawienie! Szczerozłoty wiersz, cudownie mówiony przez Olbrychskiego i Michnikowskiego, przez Papkina-Damięckiego, przez Rejenta-Gogolewskiego (!), przez Podstolinę-Barszczewską, porywa widza i unosi, pośród wybuchów śmiechu i uczucia prawdziwego szczęścia, do najmilszego finału. Nic dziwnego, że zachwycona widownia dała wielką, burzliwą owację na stojąco. Ach, a ten Damian Damięcki! – co za Papkin kapitalny! – przede wszystkim miły, dzięki czemu ogląda się go bez męczącego uczucia bezzadnej litości, prze-

mieszanej z odrazą. Miły – choć przecież nadal tchórzliwy fanfaron, łgarz i pieczeniarsz bez godności. Ma jednakże tyle ludzkiego ciepła, tyle typowo damięckiego wdzięku, tak niewinnie roz-wiera jasne oczęta, tak dziecinnie się śmieje – że musi wzbudzać sympatię, co chyba Fredro właśnie założył: wszystkie postacie tej arcykomedii mają być miłe; nawet świętoszkowaty Rejent obdarzony został tyloma śmiesznościami, że trzeba go lubić.

Niestety, najsympatyczniejsze z założenia postacie – pozbawieni choćby jednej wady kochankowie, Wacław i Klara, już w samym tekście Fredry nieco nużą, zaś w wykonaniu dwojga nieco sztywnych aktorów – wprost irytują. Ale ich nie-naturalność (Klara) i znudzona obojętność (Wacław) to jedyne minusy tego ślicznego przedstawienia, które poza tym można już tylko chwalić: za tempo i poczucie miary, za wdzięczną scenografię i piękne kostiumy, za czarującą muzykę Andrzeja Kurylewicz. Ten zachwycający spektakl toczy się tak zgrabnie i dynamicznie, że w pewnym, aż trudnym do zniesienia momencie, człowiek już nie wie, na kogo ma patrzeć: na Olbrychskiego, na Damięckiego czy na Michnikowskiego (ach, te jego fantastycznie śmieszne, milczące komentarze do dialogu Cześnik-Papkin!).

Jednym słowem: Kochane Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy, idźcie czym prędzej na „Zemstę” do Teatru Polskiego w Warszawie! Zapewniam Was, że jeszcze nie widzieliście takiego Olbrychskiego, który nie ma chyba w swym dorobku roli zagranej tak frenetycznie, z takim żywiołowym talentem komicznym (kiedy opowiada, jak się oświadczał Podstolinie, drobi nawet, składa rączki i trzepocze rzęsami! A jego scena z karabelą, z lubością rozbudowana, każe myśleć, jak też wyglądałby około pięćdziesiątki nasz ulubiony Andrzej Kmicic). Nie słuchajcie malkontentów, którym się wydaje, że człowiekowi inteligentnemu nie wypada się zachwycić niczym, choćby nie wiem jak było piękne i udane. My, ludzie młodzi, będziemy się zachwycać szczerze i całym sercem, zwłaszcza, że przedstawieniem w reżyserii Andrzeja Łapickiego zachwyciłby się nawet Alexander Fredro!

MAŁGORZATA MUSIEROWICZ